

Prolog. Napisane, nienapisane

I

Późno zrozumiałem, że sięganie po pióro – choćby tylko po to, by pisać o pisaniu innych – nie jest czynnością bez znaczenia i pociąga za sobą nieodwracalne skutki. Długo nie docierało do mnie, że pisanie rzadko bywa niewinne, co znaczy tu: czysto literackie – papierowe. Zawsze w jakimś stopniu wyrastając z wewnętrznego świata piszącego, ujawnia jego „ja”. Każde pisanie jest ostatecznie tym właśnie: p o z o s t a w i a n i e m ś l a d ó w. Tadeusz Peiper, bohater jednej z nienapisanych przeze mnie książek, był ponadto przekonany, że jest też nieuchronnie samozdradą. „Wybierając słowo spośród słów, zdradzamy się” – głosił w jednym z manifestów¹. W innym zapewniał: „Podajcie mi trzy metafory, w utworze jakiegoś poety bezpośrednio po sobie następujące, a powiem wam o tym poecie tyleż, co najobszerniej-szy jego biograf”².

Nie jestem i nigdy nie byłem poetą, a mimo to mam poczucie, że nieostrożnie biorąc co pewien czas pióro do ręki, dokonałem zbyt wielu takich zdrad. Skoro więc nie udało mi się przeżyć dotychczasowego życia bez zaznaczania swojej obecności w słowie – co byłoby najlepszym rozwiązaniem (problemu istnienia) i dobrym wyjściem (z tego świata) – powinienem zatroszczyć się o ślady nieopatrznie pozostawione. Niech przynajmniej staną się świadectwami. Może okażą się komuś przydatne. Choćby jako przestroga przed pisaniem, które nie jest konieczne do zbawienia potrzebne.

A przecież mogło być inaczej. Da się chyba jakoś przejść przez życie, nie pozostawiając śladów?

To późne marzenie, marzenie wieku dojrzałego, które pojawia się wówczas, gdy już się zna swoją miarę. I miarę innych. Nic po sobie nie zostawić, żadnego słowa, które mówiłoby o naszym jed-

nostkowym losie i pozwalało innym przymuszać nas do dialogu z za grobu, bezceremonialnie wzywać nas (z zaświatów) na świadków w sprawie jakichś aktualnych ziemskich sporów... Ach, tak – nic po sobie nie zostawić. Rozproszyć się bez śladu. Nawet grobu nie mieć.

Równie wiele w tym pychy, co w przeciwstawnym pragnieniu: by żyć wiecznie w swoim dziele. Zamiast *non omnis moriar* – umrę wszystek, raz a dobrze, do końca i bez reszty. Ale to tylko marzenie. Marzenie, które nie może być pierwsze i dlatego jest tak trudne do spełnienia. Prawdopodobnie w ogóle nieziszczalne. Trzeba by bowiem sięgnąć po niemożliwe: od początku (i z własnego wyboru) umieścić się poza dziedziną ludzkiej komunikacji, w każdej chwili pozostawać skrytym, zamkniętym zawsze w sobie – jak istnienie doskonałe, które sobie samemu wystarcza. I nic nie mówić, nic nie czynić. Pozbawić się nawet własnej twarzy lub ukryć się pod cudzą postacią, pod nieruchomą maską, rzucając światu: *Larvatus prodeo*.

Gdybyż to wszystko było wiadome u początku naszego istnienia. Ale nie jest i być nie może. To inni najpierw muszą powiedzieć nam, kim jesteśmy, i dopiero potem – już świadomi siebie – możemy marzyć o niebyciu. Podobnie zresztą wielkość „ja” i wieczność „ja”, o które tak często toczy się gra w literaturze, zależy od innych. Piszę dla was – i dzięki wam okazuje się, czy jestem święty czy przeklęty, dzięki wam i waszej pamięci przetrwam (lub nie) swoją śmierć. W niektórych pisarzach budzi się jednak odmienna potrzeba. Realizuje się ona poprzez oddalenie, czy nawet porzucenie wspólnoty, odmowę dialogu i podjęcie gry ze sobą za pomocą pisania. „Ja” staje naprzeciw „ja” i poszukuje się w tym, co napisane. Cóż innym do tego?

Literatura jest instytucją. Wymaga liczby mnogiej. Każdy, kto w pisaniu poszukuje siebie, kto pisaniem (dla siebie samego) chce uzasadnić lub usprawiedliwić swoje istnienie, staje poza literaturą. Inna rzecz, że ci właśnie piszący, którzy literaturę zdradzają, są – paradoksalnie – najczęściej wynoszeni na ołtarze jako jej święci i męczennicy. Ale wówczas są przez innych na powrót w niej umieszczani. Siłą i często wbrew jasno wyrażonej woli.